Nr. 8. Lwów, 15. kwietnia 1901. Rok XXIV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

KONKURS
na nagrody im. hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
dla straży łowieckiej.

Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego rozpisuje niniejszem w myśl uchwały z d. 8. stycznia 1900 konkurs na nagrody dla straży łowieckiej, odznaczającej się gorliwością w ochronie zwierzyny i tępieniu kłusownictwa. Będzie rozdzielonych **siedm nagród**, a mianowicie: jedna w **kwocie 40 koron**, dwie **po 30 koron**, dwie po **20 koron** i dwie po **10 koron**.

O nagrody te mogą ubiegać się ci z personalu łowieckiego, którzy albo sami są członkami Towarzystwa łowieckiego, albo też pozostają w służbie u członka Towarzystwa łowieckiego.

Przy przyznawaniu nagród będzie się brała w rachubę długoletnia, nienaganna służba łowiecka, pierwszeństwo zaś do otrzymania nagrody będą mieć ci ze służby łowieckiej, którzy udowodnią jakąś wybitną czynność w kierunku ochrony zwierzyny lub tępienia kłusownictwa, w ostatnich pięciu latach wykonaną.

Podania należy wnosić do Wydziału Towarzystwa łowieckiego **na ręce delegatów Towarzystwa**, do dnia 15. maja 1901. Nagrody rozdzieli walne zgromadzenie członków Towarzystwa na wniosek Wydziału, wypracowany na podstawie podań, zaopiniowanych przez pp. delegatów.

We Lwowie d. 15. kwietnia 1901.

TAVOLAZZO W PIEMONCIE

I POLOWANIE NA CIETRZEWIE W ALPACH w roku 1825.

Przez MARKIZA de FOUDRAS.

(Wolny przekład z francuskiego przez A. TYSZKIEWICZA).

(Ciąg dalszy).

Co do tego ostatniego, była to tak dziwna osobistość, jak się rzadko spotyka i nie mogłem się dosyć mu napatrzeć. Miał prawie sześć stóp wysokości i w przeciwieństwie do ludzi wysokiego wzrostu trzymał się prosto jak trzcina, chudości był fenomenalnej, o rękach i nogach niezmiernej długości, nos olbrzymi, usta bez jednego zęba, od ucha do ucha. Prawe oko żywe i szeroko rozwartę, kontrastowało dziwnie z lewem ciągle zmrużonem i przymkniętem, tak jakby zawsze był do strzału złożonym. Skóra miała barwę cholewy starego buta i pomarszczoną jak jabłko z końcem postu. Mimo tego cała ta fantastyczna powierzchowność nie była nic a nic śmieszną. To długie, smukłe ciało było żywe i zgrabne we wszystkich ruchach, twarz błyszczała sprytem i dobrocią, oko otwarte uprzejmością, a z pod przymkniętej powieki drugiego oka błyszczała werwa i humor; widząc go krzątającego się, można było go na 25 lat wieku szacować, spojrzawszy na twarz miało się starca 100 letniego przed sobą. W rzeczywistości liczył już dobrze siedmdziesiątkę, co mu jednak nie przeszkadzało maszerować piętnaście godzin z rzędu bez pięciu minut odpoczynku. Nazajutrz miałem tego dowód.

Podczas mego egzaminu, strzelec Markiza rozsiodłał muły, na których przyjechaliśmy i rozpakował nasze bagaże, tak, że w mgnieniu oka stół Titana był pokrytym armią pasztetów, szynek, kiełbas — o butlach rozmaitych form i wielkości nie trzeba zapominać.

— Excelencyo, nie jestem kontent, rzekł Titano, melancholicznym okiem śledząc te przygotowania — pierwszy raz nie dowierza excelencya piwnicy i kuchni starego żołnierza.

— Nie, mój dobry Titano — odpowiedział markiz, kładąc z uprzejmą poufałością dłoń na kościstem ramieniu kłusownika, ale możliwem jest, że wycieczkę w dalsze strony przeciągniemy, a gdy wiem, że nie można wszędzie tak gościnnego dachu jak twój znaleść, zabezpieczyłem się na wszelki wypadek.

Twarz Titana rozjaśniła się.

— A więc — odrzekł — excelencya przyjmie wieczerzę przygotowaną dla siebie, gdyż go oczekiwałem.

— Ależ bez wątpienia! — wykrzyknął wesoło markiz — możesz stół nakrywać.

W mgnieniu oka Titano ulokował prowizye przez nas przywiezione w bufecie i zakrzątnął się gorączkowo koło nakrycia stołu.

Ostre powietrze górskie przyprawiło mnię o apetyt prawdziwie myśliwski, z tego też powodu byłem mniej zachwycony myślą pożywania uczty zastawionej nam przez naszego gospodarza, zamiast doskonałych rzeczy przywiezionych przez nas, a przygotowanych przez wyśmienitego kucharza, jednego z najlepszych, jakich mi się zdarzyło spotkać.

Nie mogłem się powstrzymać od okazania tego w żartobliwy sposób Stefanowi.

— Uspokój się — odpowiedział mi — to więcej przez łakomstwo uczyniłem, jak żeby nie zasmucić poczciwego Titana, żem jego zaprosiny przyjął. Ten poczciwiec taki, jakim go widzisz, da nam wieczerzą wyśmienitą i da nam wino, jakiego i król w piwnicy nie ma.

— Jest więc majętnym?

— On? Nie posiada jak mówią Sardyńczycy nic oprócz ziemi na której stoi, jest to *pauvre diable* jak wy francuzi mówicie.

— Więc skądże na to ma?

— To jest rodzaj sekretu, ale mogę ci powiedzieć, bo go nie zdradzisz. Titano służy jako telegraf przemytnikom twego kraju.

— I dają mu bezkarnie to robić?

— Nigdy go na gorącym uczynku nie złapano, a wiedząc, że się nie wzbogacił, nie zaczepiają go.

— Jakiż jest jego sposób?

— Każe sobie płacić wiktuałami usługi, które oddaje. Do jednych mówi, jesteście z Provence, przyniesiecie mi oliwy, anchowisów i kiełbas z Arles, od drugich żąda trufli, ryb, wina od innych, kawy, likierów, czekolady a wszyscy mu usługują nadzwyczajnie, bo raz oszukany, nigdy w żaden sposób nie da się na nowo do usług nakłonić.

— Ależ przy takim trybie życia ciągle musi być w drodze, jakże się to zgadza z jego zamiłowaniem do polowania, i w jaki sposób mogłeś mieć pewność zastania go dzisiaj wieczór?

— Mówiłem ci, że służy za telegraf przemytnikom, nie twierdziłem jednak, że jest ich przewodnikiem: na to jest on za sprytnym.

— Zaczynam pojmować.

— Jutro za dnia, gdy położenie jego chaty zobaczysz, zrozumiesz jeszcze lepiej; załatwia się on nie ruszając się zupełnie z chaty. Zaraz ci to wytłómaczę...

Stefano przerwał spojrzawszy na stół, który nasz gospodarz nakrył, a zwracając się do niego rzekł:

— Cóż to znaczą Titano, te dwa nakrycia? Czyż nie potrafisz z nami zjeść drugiej wieczerzy, jeżliś już raz wieczerzał?

— Ależ excelencyo, nie wiem czy... ten pan francuski chciałby mi zrobić honor i...

— Cóż, masz go za głupszego odemnie, — przerwał markiz — odpowiadam za niego. Stawiaj trzecie nakrycie, dobry, stary Titano i nie kłopocz się o resztę.

Z pośpiechem potwierdziłem słowa Stefana i gdy w tej chwili stary kłusownik zbliżył się do ogniska, przy którem siedzieliśmy, by przystawić patelnię, uścisnąłem mu rękę, co przekonało go, żem też niegorszy towarzysz od mojego przyjaciela.

— Macie ładnego psa — rzekłem do Titana, który spędziłe piękngo setera, leżącego w poprzek przed ogniskiem.

— To prawda excelencye, że jest ładnym, odpowiedział z dumą stary kłusownik — a co więcej warte, że pod względem dobroci nie ma sobie równego. Na nieszczęście jest już starym, ale ma jeszcze dobre oko, jest żwawy i wiater ma nadzwyczajny.

— Jak go nazywacie?

— Torquato.

— Daliście mu wcale sławne nazwisko!

— To nie ja; już nosił tę nazwę, gdym go otrzymał od pięknej damy angielskiej, która przejeżdżała przez Pignerol. Pies miał wtenczas dwa miesiące. Chciano go utopić.

W tej chwili Torquato, który odgadł, że o nim mowa, przystąpił do mnie, i oparł śliczną swą głowę na mojem kolanie. Był to seter największego gatunku i o formach bez zarzutu. Szyja jego z gracyą wysuwała się z pomiędzy płaskich silnych łopatek i zakończona była najładniejszą mordą psią, jaką kiedykolwiek widziałem,

czoło rozwinięte, długie uszy, miękkie, szczęki delikatne zakończone różowym nosem, a wszystko rozświecone oczyma intelegentnemi i łagodnemi, które zdawały się przemawiać, tak były wyraziste. Z wyjątkiem uszu, karku, które były jasno żółte, cały był śnieżno biały, ogon lekko zawinięty zdobny był puszystą kitą, także nogi w całej długości okryte były długą frenzlą jedwabnych włosów.

— Czy ten piękny zwierz nie jest przypadkiem do sprzedania? rzekłem do Titana pieszcząc psa.

— Sprzedać mego psa! rozłączyć się z mym wiernym Torquatem — zawołał stary kłusownik z żywością, graniczącą z oburzeniem, o nie, nie excelencyo! To mój najwierniejszy przyjaciel — on mię nie opuści jak długo żyję, a jeźli umrę przed nim, co jest prawdopodobne, Bogu dzięki, p. markiz Nora obiecał go wziąść na łaskawy chleb.

— I ponawiam moją obietnicę, mój dobry Titano,

W tejże chwili rozweselona przed chwilą twarz Titana, wyraziła powagę i niepokój i to tak szybko nastąpiła ta przemiana, iż ją porównać mogę tylko z nocną błyskawicą, po której błysku ciemność w jednej chwili nastaje.

Wkrótce słyszeć się dały zewnątrz regularne ciężkie kroki, potem zmięszane ze szczękiem broni glosy. Nakoniec kolby karabinów ciężko zadźwięczały na skałach przed chatą a jedna z nich, kierowana ręką brutalną lub też niecierpliwą, wstrząsnęła drzwiami, jakby chciała je wyłamać.

Ku memu zdziwieniu, Torquato usłyszawszy cały ten harmider, wrócił przed komin i położył się spokojnie na swem miejscu, zauważyłem nawet, iż oczy zamknął, jak ktoś udający sen.

— Nie ma tam nikogo w tej chałupie? odezwał się za drzwiami groźny głos złym językiem francuskim — Widać przecie światło!...



z nadzieją, że nie tak prędko będę zmuszony jej dotrzymać, odrzekł markiz.

— Czyż nie możnaby mieć przynajmniej potomka po tym wspaniałym zwierzęciu? zapytałem.

— Z chęcią bym służył excelencyi, odpowiedział, — lecz Torquato jest w tem do mnie podobny, że obaj z miłości nic sobie nie robimy, widział raz tylko w życiu sukę i miałem dużo do roboty, zanim go powstrzymałem od uduszenia jej, przy tem trzeba nadmienić, że towarzyszył jej obrzydliwy kundel, dla którego widoczną czuła sympatyę.

Spytałem starego kłusownika, czy podobnie w życiu postępował, jak jego Torquato.

Titano parsknął śmiechem — w tej chwili zaczęła skwierczyć patelnia, której zawartość już się usmarzyła. Stary kłusownik czekał prawdopodobnie z odpowiedzią, aż się uspokoi od śmiechu, kiedy Torquato, którego głowa spoczywała na mych kolanach, podniósł uszy, ile tylko mógł najwyżej i uniósłszy nos, jednym skokiem znalazł się przy drzwiach chałupy, na które się spiął w całej wysokości.

I drugie uderzenie kolby, jeszcze silniejsze niż pierwsze, wstrząsnęło drzwiami, kilka dosadnych klątw towarzyszyło mu.

— Chcesz, bym poszedł otworzyć? zapytał po cichu markiz Titana, który zarówno jak jego pies zdawał się nie trwożyć zupełnie tem, co się działo. Zmięszanie poprzednie znikło mu z twarzy kompletnie, od czasu jak Torquato wrócił się i położył na swem miejscu.

— To są strażnicy, excelencyo! nie żenujmy się, mogą poczekać, aż grzanki się usmarzą.

— Ależ rozwalą ci chałupę ze złości.

— Niech no tylko drzwi wyłamią, a obiecuję excelencyi, że ten lichy kawał drzewa będzie tyle kosztować, jak by był ze srebra czystego. Już dawno oczekuję okazyi, by im proces wytoczyć.

— Nie będziesz mieć słuszności w tej sprawie, ponieważ każdy ma obowiązek otwierać im drzwi na pierwsze zażądanie.

— To prawda, lecz się to odnosi do drzwi zamknię-

tych excelencyo, ale nie do drzwi otwartych, prawo o nich nic nie mówi, to znaczy, iż mogą sobie zadać fatygę i pchnąć je sami. A niech je potrzaskają w tysiączne kawałki, jeżeli ich to bawi, wezmę was za świadków, że drzwi były tylko na klamkę zamknięte, excelencyo, i będziemy mieć ciekawy proces w Pignerol.

W tej chwili Titano osądził prawdopodobnie grzanki za usmarzone, ściągnął patelnię z ognia i umieścił ją na gorącym popiele.

Słychać było strażników skarbowych rozmawiających szeptem, jakby się naradzali nad czemś.

— Ponieważ się udobruchali, otworzę im sam i podniósł zamknięcie jednym palcem.

Pięć czy sześć osób uzbrojonych stanęło w progu lecz żaden nie wszedł do środka.

— Wykpiłeś się dzisiaj — rzekł komendant patrolu.

— Przyszliście mię wziąść? zapytał ironicznie stary kłusownik.

— No, to będzie w inny dzień... ale bylibyśmy ci drzwi wyłamali, gdybyśmy się nie byli dowiedzieli, że excelencya markiz de Nora u ciebie się znajduje.

I mówiąc to dowódzca straży zasalutował po wojskowemu Stefana, który podszedł bliżej, by w razie potrzeby interweniować.

Strzelec markiza wracał właśnie z pobliskiej komory, gdzie psom naszym dawał jeść i uwiadomił straż, że w chałupie znajduje się markiz, i dla tego też przestali w tej chwili dobijać się.

— Ach! bylibyście drzwi wyłamali, zawołał stary Titano. Corpo di bacco! bardzo mi nieprzyjemnie, żeście sobie tego nie pozwolili? A teraz czego chcecie? mówcie prędko i spieszcie się pokazać mi swoje plecy.

— Chcę cię przestrzedz, odrzekł naczelnik straży, iż ja zastępuję od dziś brygadyera Broschi, wydalonego od wczoraj z powodu zażyłości z tobą i...

— To jest kłamstwem, które posłużyło do popełnienia niesprawiedliwości, przerwał Titano z oburzeniem — Broschi dobrze pełnił swą powinność, chociaż nie był rozbijaczem otwartych drzwi, jak ty, mój przyjacielu!

— Staraj się zawsze prostą drogą chodzić — przerwał mu brygadyer.

— Jeźli prosto chodzę, to dla tego, że to mój zwyczaj; ciebie się nie boję. Czyś już wszystko powiedział? Baczność! oddział w lewo zwrot, naprzód, krok przyspieszony, marsz!

Strażnicy nie poruszyli się a szef ich pochylił się, by wnętrze chaty zbadać.

— Ach! ach! to ten sławny pies?

I wskazał palcem Torquata, ciągle przed kominem wyciągniętego.

Rzuciłem okiem na Titana i zdało mi się, że jego tryumfająca mina staje się chmurną.

— A więc dobrze! tak, to jest sławny mój pies, powtórzył z humorem, więc cóż?

— Więc cóż? Powiedziałbym, że nie jesteście do siebie podobni wcale. Ty jesteś bezczelny, ty, a on robi mi wrażenie najchytrzejszego lisa na świecie... Lecz niech się ma na baczności, bo będę miał oko na niego i...

— Z tego wynika — przerwał Titano z groźbą w głosie, że jeźli jakie nieszczęście psu się wydarzy, to ty będziesz tego przyczyną.

— Właśnie.

— Więc radziłbym ci strzedz swej skóry, bo w dniu, gdy mu jeden włosek skrzywisz, twa skóra będzie miała dziurę.

Stefano sądził, że to właśnie pora, by się wmięszać w ten spór.

— Spokojnie, mój dobry Titano — rzekł głosem pojednawczym, kładąc mu rękę na ramieniu — to tylko żarty żołnierskie brygadyer nie myśli nic złego zrobić twemu psu.

— On żołnierzem, excelencyo! zawołał Titano — ależ on nigdy nim nie był.

— Naraża się na niebezpieczeństwa, choć nie zyskuje sławy, odrzekł markiz. — Podajcie sobie ręce i starajcie się nie mieć więcej ze sobą nic do czynienia.

— Ja mam podać rękę człowiekowi, który zagraża Torquatowi! nigdy excelencyo!

— Jeżeli to tylko na żart powiedział...

— Nie chcę, by z mego psa żartowano.

— Brygadyerze! — zaczął znów Stefano, zwracając się do dowódzcy strażników, — potwierdźcie memu przyjacielowi Titanowi, że na seryo nie grozicie jego psu.

— Wolę go rozgniewać, niż w błąd wprowadzać, excelencyo, odrzekł brygadyer stanowczo lecz z uszanowaniem. — Czy słusznie czy nie, doniesiono nam, jakoby jego pies był sługą bardzo oddanym przemytników i otrzymałem rozkaz zabić go, jeżeli go złapię na gorącym uczynku; przyszedłszy go przestrzedz o tem, myślałem, że robię dobry uczynek.

Markiz potakująco skłonił głowę i spojrzał na Titana, jakby mu chciał powiedzieć: widzisz, to jest postępowanie, porządnego człowieka.

— Ach! zadenuncyowano mego psa — rzekł ponurem głosem Titano, — cóż mówią, że on tak złego popełnia?

— To mnie tylko obchodzi... Trzymaj go krótko, radzę, odpowiedział brygadyer — nie podchodzę cię zdradziecko.

— I cóż ty nazywasz schwytanie psa mego na gorącym uczynku, zapytał Titano.

— Odpowiem ci jeszcze na to pytanie, choć mię nic nie przymusza, — jeżeli więc spotkam twego psa włóczącego się w górach lub w towarzystwie ludzi podejrzanych, to mu kulę poślę w łeb, tak pewnie, jak to, że zowię się Carlo Volenti.

— Ale jeźli spotkasz Torquata, który jest psem myśliwskim, mogę być za nim ze strzelbą w rękach, czy wtenczas też go zastrzelisz? — i twarz Titana i tak już groźne i ponura, przybrała wyraz strasznego okrucieństwa, gdy pytanie to zadawał brygadyerowi.

— Nie jestem dzieckiem, odparł ten ostatni, umię rozeznać dobre od złego, pies może polować, ile mu się tylko żywnie podoba, nie narazi się na żadne niebezpieczeństwo, ale jak się będzie w przemytnictwo bawił... wiesz, com ci powiedział

— Już dobrze, już dobrze — zamruczał Titano z nieutajonem zadowoleniem.

Podczas tej rozmowy wieczór już całkiem zapadł i w przerwach jej słychać było szelest lekkiego wiatru w liściach drzew i szmer monotonny strumyka w pobliżu chaty. W tej chwili jękliwy głos puszczyka rozdarł powietrze, łącząc się do koncertu wieczornego mniej przyjemną nutą.

Rzuciłem przypadkiem okiem na Torquata, zdało mi się, że nerwowe wstrząśnienie przebiegło jego członki, że powieki drgnęły mu nerwowo jakby miał oczy otworzyć. Przecież pies nie ruszył się i oczu nie otwierał. Wspominałem już, że Titano zaczął być więcej ludzkim w mowie swej przy końcu, teraz zaczął się formalnie przymilać.

— Brygadyerze Volenti, ponieważ mamy w dobrym porozumieniu żyć ze sobą dalej — rzekł — nie odmó-

wisz mi wypicia ze mną szklanki Asti. Wejdźcie, wejdźcie towarzysze! Oto stół jego excelencyi markiza Nory; ale łatwo drugi nakryć. Strażnicy weszli, lecz drzwi zostały otwarte, by mogli okolicę mieć ciągle na oku, gdyż, jak nam powiedzieli, dostali zawiadomienie, że znaczna partya przemytników ma tą okolicą dziś się przekraść.

Titano zaczął się żywo kręcić, by im usłużyć, przynosił krzesła, zaścielał stół obrusem, przykładał drew na komin, który tego zupełnie nie wymagał i przy tej czynności, musiał mu Torquato przeszkadzać, ku memu zdziwieniu bowiem kopnął silnie psa, dla którego taką miał miłość. Torquato się podniósł, żałośnie zaskowyczał i uciekł na próg chaty; puszczyk drugi raz zajęczał a pies mu ponurem skomleniem odpowiedział, jakby mu ten jęk puszczyka boleść na nowo uprzytomnił.

dlaczego mu są nieprzyjaźni, bo ma za protektora markiza Norę. Gdyby był kontrabandzistą, byłby majętnym i spotykanoby go czasem z podejrzanemi ludźmi. Wierzcie mi, miejmy go na oku lecz nie dokuczajmy mu.

— Ja też nie myślę nic innego, Rawina, i...

— Za wasze zdrowie, brygadyerze Volenti — przerwał Titano, który nic stracił i słowa z tej szeptem prowadzonej rozmowy. — Za wasze zdrowie, i za pierwszy razem, gdy zajdę do Pignerol, by kupić prochu i śrótu, przyniosę wam wiązkę bażantów lub ćwierć kozła a może jedno i drugie, jak się uda dobrze polowanie.

Brygadyer odpowiedział na pół wesoło a napół surowo, co zdawało się leżeć w jego charakterze:

— Ojcze Titano, przyjmuję z dobrem sercem wasze bażanty i kozła, jeżeli to nie na to dajecie, by mię uśpić.



— Wasz pies jest bardzo delikatny — ojcze Titano, rzekł jeden ze strażników.

— To nie dla tego, bym mu wielką sprawił boleść — odrzekł stary kłusownik — gdybyście wy go tak uderzyli, nawet by się nie ruszył, ale gdy ja go uderzę, wyje przez kwadrans.

Poczem Titano przywołał psa i pogłaskał go, a tenże polizawszy mu rękę wyciągnął się znów przed kominem.

— Ten pies jest zanadto miękki i czuły jak na rzemiosło, które ma spełniać; — szepnął brygadyer Volenti do okok stojącego strażnika, musiano mi fałszywe doniesienie zrobić.

— Mówiłem wam, — odparł tym samym głosem strażnik. — Pan i pies nie myślą o niczem innem, jak o polowaniu, ci, co twierdzą inaczej, są zazdrośnicy i kłamcy, a może i sami są przemytnikami. Titano ma dużo nieprzyjaciół, a nic złego nikomu nic zrobił nigdy. A wiecie,

Jestem dobrym człowiekiem, ale znam tylko jedną rzecz, to jest służbę..

— Oprócz tego jestem ojcem rodziny i nie myślę tracić miejsca. Jeżelibym więc na nieszczęście wasze, złapał was na przemytnictwie a na relikwie mego patrona, nie życzę sobie tego, gdybyście mi dali nawet wszystkie bażanty latające od przesmyku Tenda do Splügen i wszystkie kozły, skaczące między Monte-Viso a wielkim Bernardem, złożę porządny o was raport. Czy słusznie czy niesłusznie zdymisyowano starego Broschi, słusznie czy niesłusznie posądzają was i waszego psa, nie będę tego sądzić, czy to kłamstwo czy prawda... Ale tymczasem zdrowie wasze ojcze Titano! obyśmy byli dobremi przyjaciółmi, jak na starych żołnierzy przystało.

I brygadyer jednym haustem spełnił kielich, napełniony płynem koloru topazu.

— To Asti jest idealne — ciągnął dalej, mlaskając języki em, można by rzec, że to francuski „petit muscat“.

— Ach! bo też to stare wino — mruknął Titano, i kiwnął głową, jak by chciał rzec: wszystko co stare, to dobre.

W tej chwili puszczyk zawrzasnął, lecz już tak daleko i cicho i w kierunku zupełnie przeciwnym, jak poprzednio.

— Ojcze Titano, macie dużo tych obrzydłych ptaków w waszych górach? zapytał naszego gospodarza strażnik, który się wprzód za nim wstawiał u brygadyera:

— Możecie śmiało powiedzieć Rawina, że ich wszyscy mamy dużo. To prawdziwa plaga. Ja tłukę ich 50 do 60 rocznie, a sami widzicie, że nawet nie znać tego. Bywają wieczory, że mnię do desperacyi doprowadzają.

— One wróżą pogodę, nieprawda? zapytał Rawina.

— To zależy, odparł Titano tonem ironicznym. Jeżeli „śpiewają“ w przeddzień pogody, to pogodę zapowiadają, ale gdy śpiewają w noc przed deszczem, oczywiście niepogodę zapowiadają.

Musiałem się uśmiechnąć na tą odpowiedź przypominającą mi aforyzmy starego Dyonizego, dojeżdżacza mego ojca.

Puszczyk ostatni raz się odezwał, lecz już w takim oddaleniu, żeśmy go ledwie dosłyszeć mogli.

Torquato, który nie ruszył się ze swego miejsca, podniósł się pomału, wyciągnął się, ziewnął potężnie i rzucił się z westchnieniem na swe dawne miejsce, z westchnieniem, oznaczającem zmęczenie lub nudę a może jedno i drugie.

Podczas tej sceny Stefano siedział ze mną obok komina i od czasu do czasu tylko parę słów zamieniliśmy.

Dziewiąta wybiła na zegarze, który był najpiękniejszym meblem w chacie.

Na ten sygnał strażnicy opuścili stół, chwycili za karabiny, które stały oparte o mury, uścisnęli jeden po drugim rękę Titana, oczywiście pierwszy brygadyer, i zasalutowawszy nam, wyszli, a wkrótce odgłos ich kroków zaginął w oddali.

Titano ich odprowadził kawał drogi i gdy wrócił zauważyłem, iż drzwi zostawił otwarte, choć wiatr nocny nieprzyjemnie się dawał uczuwać.

— Chwała Bogu, żeś się tak dobrze wywinął, mój stary, rzekł mu markiz — staraj się o to i na przyszłość, lecz to nie będzie łatwem, gdyż nie masz teraz do czynienia ze starym Broschim.

Titano położył palec na ustach i okiem wskazał drzwi otwarte, dając nam przez to do zrozumienia, że możemy być śledzeni.

— Pst! — szepnął potem.

Torquato jednym rzutem znalazł się przy Titanie i popatrzał mu w oczy.

— Apporte! szepnął mu stary kłusownik tak cicho, żem ledwie zrozumieć mógł to słowo, choć tylko trzy kroki dzieliło mnie od niego.

Torquato puścił się jak strzała i znikł w mgnieniu oka za progiem.

Obserwowałem tę pantomimę i widziałem, że Stefana bawiło moje zaciekawienie, i to żem nic a nic nie mógł zrozumieć z tego, co się dzieje.

Psa nie było z dziesięć minut i oczekiwaliśmy go w głębokiem milczeniu. Po upływie tego czasu pies wpadł w skokach, tak jak wyszedł i skoczył na swego pana, a gdy stary pochylił trochę głowę, Torquato polizał mu dwa razy twarz.

— Możemy się śmiać teraz! wykrzyknął Titano. I zaczął wyskakiwać zupełnie jak pies jego przed chwilą, co najzabawniejsze, to to, że i pies tak samo zaczął skakać w około niego.

— Odeszli! wszyscy odeszli! — zaczął znów Titano nie przerywając swych skoków... — Ach! sądzicie excelencyo, że będę miał większą trudność z Volentim, niż z Broschim? Mylicie się signor marchese!... Czyście widzieli, jak idealnie odegraliśmy nasze role?

— Zrozumiałem, że ci się udało niewątpliwie wzbudzić powątpiewanie co do stosunków twych z przemytnikami.

— Jakto! nic więcej nie widzieliście, excelencyo!

— Nic więcej, przysięgam.

— Excelencya złym byłbyś strażnikiem.

— Nie przeczę.

— Ale słyszeliście przecie głos puszczyka?

— Tak.

— I przypominacie sobie, excelencyo, że prawie równocześnie kopnąłem biednego mego psa, który leżał przed ogniskiem, jak ubity koziorożec.

— Przypominam sobie...

— A więc, excelencyo, wszystko to było ułożone między nami.

— Jakto! między nami?

— Między mną i mym psem.

— Cóż u dyabla mówisz?

— I strażnicy nic się nie domyślali, na czele pan Volenti.

— Wytłómacz się jaśniej.

— Mój Boże, przecież to nie trudno zrozumieć. Puszczyk to była banda Gambertiego, przemytnika z Briançon. Przeszła o kilkaset kroków stąd, podczas kiedy strażnicy żłopali moje wino i kiedy posłałem Torquata na próg, by wył, to było na znak, że droga jest wolną, bo strażnicy są u mnie.

— I twój pies wie, co zrobił?

— Doskonale.

— To nie do uwierzenia — rzekłem.

— Excelencyo, pokażę wam jutro na polowaniu jeszcze ładniejsze sztuczki.

— Coście mu kazali przed chwilą, gdyście go na dwór wysłali.

—Posłałem go na patrol.

— I zrozumieliście po jego postępowaniu, że strażnicy się oddalili.

— Właśnie.

— Miał minę zadowoloną, to się rozumie, bo dobrą nowinę przynosił: ale gdyby nowina była zła, naprzykład, byłby się położył. Im większą jest jego apatya, tem niebezpieczeństwo bliższe.

— To jest zadziwiające — i rozumię ojcze Titano, że takiego psa nie sprzedacie. A na polowaniu jego zdolności, czy wyrównują jego zdolnościom przemytniczym.?

— Co do tego nic excelencyi nie powiem, sami jutro osądzicie.

I Titano kończyć zaczął przygotowania do kolacyi, poprzedniemi zdarzeniami przerwane, Wkrótce też zdwojoną gorliwością stracony czas odzyskał. W jednej chwili grzanki były na stole i z kredensu zjawił się wspaniały pasztet z bażantów i kuropatw, sporządzony przez naszego gospodarza, tak że i najlepszy kucharz byłby się nie powstydził. Szynka z Medyolanu, tuńczyk z Marsylii, bez wątpienia przez puszczyka przyniesiony; anchovisy,

oliwki i przysmaków innych bez końca. Co do win, to były wyśmienite i tak różne jak potrawy, był więc Hermitage blanc, Côte-Rotie, Saint Peray, na deser Rivesaltes, jakiego w życiu nie piłem.

Gdy stół już był obciążony temi potrawami, na ponowne nasze zaproszenie usiadł pomiędzy nami Titano.

— Excelencyo — rzecze do markiza Nory — dziś nie będziecie mieć swego kawioru, ale go obiecuję na jutro bo puszczyk dziś wieczór śpiewał.

— Ale czy będziemy mieć jutro pogodę? zapytałem.

— Wspaniałą excelencyo! obiecuję wam i zwierzynę i przyjemność.

— A jeźli przemytnicy będą was potrzebować podczas waszej niebytności, cóż zrobią wtenczas?

— Oni nie przychodzą nigdy przed zachodem słońca, a wtedy już będziemy z powrotem, zresztą...

— Posłuchaj, poczciwy Titano, przerwał mu markiz, źle robisz, że nie zaniechasz swego niebezpiecznego rzemiosła i pozwól dodać, że to wcale niewłaściwe zajęcie dla starego żołnierza, który sobie nie miał nigdy nic do wyrzucenia. Jesteś pod srogiem podejrzeniem teraz, ciągle pilnowany. Skończy się na tem, że cię przychwycą, zabiją ci psa i karę każą ci zapłacić, która cię kompletnie zrujnuje.

— Zabić mi mego psa, — zawołał Titano, blady ze złości i bijąc pięścią w stół. Nieszczęście temu, który odważyłby się to zrobić.

— Ty go zabijesz także?

— Tak pewnie, jak to, że jesteście najszlachetniejszym i najlepszym panem w Piemoncie.

— O to dopiero byłaby śliczna rzecz! Czy mnie rzeczywiście kochasz choć trochę?

— Czy was kocham, excelencyo!

— A więc dobrze! obiecaj mi, że dasz sobie pokój raz na zawsze z pomaganiem tamtym.

— Jeszcze zobowiązałem się do jednego przejścia.

— No ale już ostatni raz, a potem...

— A potem, a potem — odpowiedział Titano z wahaniem, zrobię to, co excelencya sobie życzy.

— Obiecujesz więc?

— Zaprzysiężone! excelencyo, za wasze zdrowie!

(D. c. n.)

RARÓG SWATEM.

(Motyw wzięty z powieści „Ogniem i mieczem“ Henryka Sienkiewicza).

Napisał
Albert Mniszek.

I.

Lodami nie spętane płyną w stepach strugi,
Po dołach czasem jeszcze błyszczą śniegu smugi,
Słychać nad wodą czajek rozhowory głośne
I pienia nad polami skowronków radośne!
Już wiosna przyleciała z wdzięcznem ptasząt echem
I step się zazielenił pierwszym jej oddechem,
A gdy wieczór zapadał, to czyste lazury
Ptactwo swemi skrzydłami w ciemne tkało sznury!
Myślałbyś: wojska całe po błękicie płyną
Przerywaną miejscami długą smugą siną;
A więc najpierw cyranki, jak lotne patrole
Szybko, cicho, stadkami płyną po nad pole,
Za niemi zaś krzyżówki w większym komuniku,
Spieszą się, sformowane, w podjazdowym szyku,
Dalej znów następują przednie z gęsi straże,
Szeroką lecąc ławą w hałaśliwym gwarze;
Teraz zaś smuga czarna na chwilę zanika,
I tylko wstecz tym szlakiem ptak jakiś pomyka.
Pewnie — goniec od czoła ważne niesie wieści
Do wodza, gdzie się teraz nieprzyjaciel mieści!
Nakoniec od południa ogromną potęgą,
Ciemną, długą, szeroką i ruchliwą wstęgą
Olbrzymia leci armia zaciężnych żórawi,
Płynie w szyku bojowym, powoli się pławi,
O uszy się odbija głos częstej komendy
I przez cały nieboskłon lecą ciemne rzędy!
A chociaż noc na stepie poważna, głęboka
Dalszych widok chorągwi, zakrywa dla oka,
Płynie ta ptactwa fala, żegluje bez końca
I słychać skrzydeł szumy aż do wschodu słońca!

II.

Nad brzegiem Kahamliku wyjeżdżonym szlakiem
Pospiesznie pędził rycerz ze swoim orszakiem.
Wiosna się uśmiechała, jak młoda dziewczyna,
Co pierwszy raz w swem życiu miłować poczyna!
Piosenka ptasząt chórem tętniła wesoła,
Miody z kwiatów stepowych wypijała pszczoła
I żołnierz, widząc radość taką przyrodzenia,
Z zdziczałej swej duszy wyrywał westchnienia...
O swojej wiosce myślał i o starej matce,
O lubej czarnobrewie, co płacze w swej chatce,
Lub na polance pierwsze znalazłszy stokrótki,
Z tęsknotą w sercu młodem rwie kwiatek milutki,
W swych rękach go obraca, z korony obrywa,
„Wróci on, czy nie wróci?“ — tak się doń odzywa,
Nakoniec kwiatek biedny precz od siebie rzuci,
Pewnie jej odpowiedział, że chłopiec nie wróci!
Hej kłamie, — żołnierz myślał, — figlarna stokrótka,
Bo do sadyb rodzinnych droga bardzo krótka,
Jutro, jak Bóg pozwoli, w płaczu ją utulę
I do serca przycisnę dziewczynę, zazulę!
I jakby na komendę z twardych serc żołnierzy
Dumka tęskna i rzewna w bujne stepy bieży:

Tam pod krzyżem luba stoi,
Stoi czarnobrewa,
O mołojcu dusza roi,
Czemu nie przybywa?...

Hej, nie wróci! wiatr jej mówi,
Bo go śmierć matula,
Dawno w głuchym gdzieś parowie
Do łona przytula!.....

Bo tu, czy świeci radość, czy też serce boli,
Zamiast śmiać się lub płakać, każdy spiewać woli
I dumkę swoją wiatrom stepowym powierza!
A wiatr po Ukrainie w struny lir uderza,

Płynie ponad futory, stepy i zagrody,
Od skał Czertomeliku po Prypeci wody,
Dumką tą dźwięczą w siołach dziadów teorbany,
A echo je w step niesie, pomiędzy kurhany!

III.

W tem nad głowami jeźdźców zaszumiały pióra
I nad stepem żórawi przeleciała chmura.
Na to jeden z orszaku chcąc urządzić łowy,
Siwemu rarogowi zdjął kapturek z głowy,
Ptak zobaczywszy stado, zerwał się z obręczy,
I nie pędzi tak strzała, co upiornie jęczy,
Ani kula działowa, co szumi z łoskotem,
Jakim raróg żórawie napadł wściekłym lotem!
I jak w bitwie, gdy granat w konnicę uderzy,
Pułk się zaraz rozpryśnie, na strony rozbieży,
Tak i czujne żórawie, na widok raroga,
Rozpierzchły się po niebie, poznawszy w nim wroga!
I jak pułk po granatu morderczym wybuchu
Napowrót się gromadzi w szybkim sprawnym ruchu,
Tak żórawie się zbiły napowrót do stada,
Ku walce i obronie, gdy raróg napada!
A srebnopióry sokół wzniósł się popod chmury,
Jakby się swym ofiarom chciał przypatrzeć z góry,
Zawisł chwilę w powietrzu, jak gdyby chciał zmierzyć,
Kiedy najlepiej w stronę najsłabszą uderzyć!
Lecz rzecz stała się dziwna! Sokół nagle zwrócił
Ku drzew kępie niewielkiej, żórawie porzucił
I lśniąc srebrem do słońca z przed zdumionych oczu
Zniknął za małym laskiem w błękitnem przeźroczu!

IV.

Teraz zapał myśliwski ogarnął rycerza,
Więc konia ostrogami dotkliwie uderza
I zostawiwszy ludzi o staję daleko,
W stronę, gdzie mu ptak zniknął, mknie cwałem nad [rzeką;
Lecz nagle konia wstrzymał, stanął w ziemię wbity,
Zjawiskiem, jakie ujrzał, całkiem z tropu zbity!
Na drodze stała młoda pod laskiem dziewica,
Z futra kuny kapturek zakrywał jej lica,
Ale z pod tej zasłony wyglądało oko
Cudne, czarne, ogniste, rozwarte szeroko;
Lica kwitły rumieńcem, jak wiszni jagody,
Albo głogu dzikiego na wiosnę kwiat młody!
Na jej ramieniu siedział spokojnie ptak siwy,
I dumnie wszędzie rzucał wzrok swój przenikliwy,
Na rycerza, na pannę, to do nieba w górę,
Czy znów może nie ujrzy ptaków lotnej chmury!
Rycerz czapki uchylił, niemy się wpatrywał,
Bo takich cudów jeszcze nigdy nie widywał,
Bo takich ust świeżutkich, cząt pełnych ognia,
Czego nie ma jutrzenka, kiedy wschodzi do dnia,
Tyle wdzięków w postaci, tak cudnej urody
Nigdy w życiu nie widział dzielny rycerz młody!
A zaś o tem, że dziewczę było pańskie, dworne,
Świadczyły rysy dumne, ubranie wytworne.
Za laskiem na zachodzie o jakie dwie staje
Widać było drzew kępy, rozrzucone gaje,
Między nimi szeroko rozległo się sioło
I dymy się wznosiły pod chmury wesoło.
Na pagórku lesistym po nad samem siołem
Widniał dwór otoczony zewsząd częstokołem,
Wewnątrz białe budynki, ogród z dużym sadem
Wskazywały zamożność połączoną z ładem.
Widocznie z tego dworu prześliczna panienka,
Jak kwiat wiśni różowa, wiotka jak sosienka,
Stała teraz przy drodze, zmieszana wypadkiem
I zapewne zdziwiona tem spotkaniem rzadkiem!

V.

Rycerz dłoń swą wyciągnął chcąc zabierać ptaka,
Wtedy na dziwną wróżbę, stała się rzecz taka:
Ptak zlazł z panny ramienia na jej rączkę białą
I na rękę rycerza jedną nogą śmiało
Przestąpił, tak pozostał i wesoło kwiląc,
Ciągnął dłonie ku sobie, do złączenia siląc!
Dopiero gdy mu głowę ukryto w zasłonę,
Dało się zanieść łatwo raroga na stronę.
Lecz na chwil kilka młodych złączyły się dłonie
I w noc jasną sierpniową tak Venus nie płonie,
Ani też nie jaśnieją gwiazdy migotliwe,
Jak zapłonęły oczy dziewczęcia płochliwe!
I jak wiatry obłoki ku gwiazdom nagonią
I niebo całe srebrną tkaniną zasłonią,
Tak znikły te płomienie pod powiek frędzlami
I lica się zalały rumieńców falami!
A i serce rycerza poczuło w natchnieniu,
Że wszystko się zamknęło w tem cudnem spojrzeniu,
Morze szczęścia i cierpień, rozkoszy, boleści,
Wszystko w jednych tych oczach dla niego się mieści!
I serca młodych istot żywem tętnem biły
I w tych duszach skrzydlatych tajne iskry tliły!

VI.

Słońce już zatapiało złocistą swą głowę
W zachodnie mgły miedziane, w równiny stepowe.
Panienka już wracała, rycerz z konia skoczył
I żywo rozprawiając, do dworu z nią kroczył;
Lecz nie dało się słyszeć serc młodych rozmowy,
Bo powstał od południa ciepły wiatr marcowy
I słysząc cudne słowa, niósł je w step daleki
Przez bezbrzeżne równiny i wezbrane rzeki!
Pod tchnieniem słów tych cudnych wiosna się budziła,
Pękami wonnych kwiatów cały step barwiła,
Lśniące kiście tryskały, jak gdyby z pod ziemi
I w jeden ciepły wieczór step zakraśniał niemi,
Nawet tej samej nocy, księżyc świecił inny,
Nie taki z twarzą w tarczy, jakim być powinny,
Lecz były w niej dwie głowy ku sobie zwrócone
I błogim pocałunkiem rozkosznie złączone!

Kilka słów o broni myśliwskiej.

W dzisiejszych czasach, w których prawie każdy dzień nowe przynosi wynalazki, technika broni myśliwskiej dzielnie dotrzymuje kroku szybkiemu postępowi w innych działach produkcyi. Prawie za wiele nowości pojawia się razem, tak, że myśliwy jest w kłopocie, jaki wybrać system lub kaliber, zwłaszcza dla luf kulowych.

Prym w wynalazkach wiodą w ostatnich czasach Niemcy.

Sądzę, że przysłużę się czytelnikom „Łowca“ dając pobieżny przegląd nowszych zdobyczy na tem polu. W przeglądzie tym ograniczę się do luf kulowych i samych pocisków.

W Niemczech jest zdawna zwyczajem myśliwskim, ostro przestrzeganym, że począwszy od kozła, wszelaka grubsza zwierzyna tylko kulą się strzela, a strzał do kozła śrutem jest uważany za nieprawidłowy i kompromitujący strzelca.

Z tego też powodu są u nich sztućce, büchsflinty, podwójne expressy i drillingi daleko częściej w użyciu, aniżeli u nas i stąd wielkie zainteresowanie się ogółu myśliwych bronią kulową, znaczny odbyt tejże, konkurencya fabrykantów a w ślad za tem ścigające się wzajemnie wynalazki.

Ażeby także mniej zamożnym myśliwym, którzy nie posiadają środków do nabycia kilku strzelb równocześnie, umożliwić strzał kulą z gładkich luf, wynaleziono już dawno i wiele specyalnych pocisków, które i u nas są znane i używane. Do mniej znanych należą „pocisk słupkowy“ Witzlebena i tzw. „pocisk flintowy“ Brennekego.

O słupkowym pocisku Witzlebena słyszałem bardzo korzystne sądy dobrych myśliwych i w pismach Wissmanna (gubernatora wschodniej Afryki niem.) znalazłem pochlebne o nich wzmianki. Bliższy opis tych pocisków podam w osobnym artykule.

Przypatrzmy się teraz broni specyalnie kulowej.

W ogólności objawia się u myśliwych, zwłaszcza starszych, skłonność do trzymania się systemów starszych i wypróbowanych. Na nowe wynalazki spoglądamy z nieufnością tak długo, aż otrzymamy niezbite dowody, że one więcej warte od starych.

Gdy się nie ma możności i sposobności robienia samemu doświadczeń z nową bronią, dobrze jest korzystać z doświadczeń poważnych i wytrawnych myśliwych. Rezultaty takich doświadczeń znaleźć możemy prawie w każdym numerze pism fachowych niemieckich jak również w naszym „Łowcu“.

Ażeby przyjść do jakiejś pewności w osądzeniu praktycznej wartości rozmaitych nowości, trzeba mieć jak najwięcej doświadczeń zgodnie brzmiących, to też wdzięczność należy się każdemu myśliwemu, który własnymi doświadczeniami dzieli się z innymi, zamieszczając je w pismach fachowych.

Jak starsze, wielkie kalibry ustąpiły miejsca expressom 11 i 12 mm., tak obecnie odbywa się stanowczy zwrot ku broni małokalibrowej.

Szereg małych kalibrów rozpoczyna 9·3 mm. u nas mało znany, następuje pocisk 8 mm. który u nas tak do Manlicherowskich jak i do Mauserowskich sztućców nie rzadko jest już w użyciu i ogólnie jest znany. W najnowszych czasach pojawiły się jeszcze mniejsze kalibry i to: 7 mm., 6·6 mm. i 6 mm., które w praktyce mają bardzo dobre oddawać usługi nietylko na głuszce i kozły, ale nawet na daniele i jelenie. Że celność tych kalibrów jest wprost bajeczną, to łatwo zrozumiałe, ale także zabójcze ich działanie na zwierzynę stwierdzają już myśliwi j. n. p. w Nr. 10. „Wild und Hund“ donosi br. Dahlberg, że 6·5 mm. kalibrem strzelał do jeleni i łań z najlepszym skutkiem.

Tyle o kalibrach. Co się tyczy samych pocisków do broni małokalibrowej, to znajdują się w użyciu pociski: z miękkiego ołowiu, płaszczykowe i tzw. *Legierungsgeschosse.*

Pocisków z miękkiego ołowiu mało kto używa, ale pociski płaszczykowe ogólnie są wzięte. Już od długiego czasu toczy się w pismach fachowych żwawa walka *pro* i *contra* tych pocisków a głosy *pro* obecnie znacznie przemagają. W prawdzie czasem jeszcze słychać jakieś użalanie się, i tak przytoczę tu przygodę pewnego magnata węgierskiego.

Wyjechawszy w góry na rykowisko, poniósł ogromne koszta i wiele trudów, zanim przyszedł do strzału do kapitalnego dwunastaka. Strzał na niedaleką metę oddany był celny, lecz jeleń nietknięty pomknął! Cóż za przyczyna? Po długich poszukiwaniach w kierunku strzału znalazł ołowiany rdzeń pocisku w jednym drzewie a obok w drugim płaszczyk niklowy — tableau!

Gdzież szukać przyczyny tak fatalnego wypadku? Odpowiedź na to znalazłem w doświadczeniach innych myśliwych.

W użyciu znajdują się rozmaite pociski płaszczykowe. Mamy pociski dwie trzecie płaszczykowe (tj. dwie trzecie pocisku pokryte są płaszczykiem niklowym a jedna trzecia rdzenia ołowianego wystaje odsłonięta na przodzie, dalej trzy czwarte, cztery piąte, pięć szóstych aż do siedmiu ósmych płaszczykowych. Otóż przy dwie trzecie płaszczykowym pocisku wystaje tak znaczna część rdzenia ołowianego z płaszcza, że podczas kiedy pocisk przebiega lufę, gwinty tejże wcinają się nietylko w płaszczyk, ale chwytają zarazem rdzeń ołowiany, co często powoduje wykręcenie tegoż z płaszczyka i wyżej wymieniony fatalny skutek.

Nie znanym mi jest wypadek, żeby myśliwy, używający cztery piąte płaszczykowego pocisku doznał podobnego fatalnego wypadku. Cesarz niemiecki używa do swoich 8 mm. i 6 mm. sztućców tylko cztery piąte płaszczykowych pocisków.

Tak zwane *Legierungsgeschosse* wynalezione zostały przez A. Ungewittera z Rossdorf i noszą jego nazwę. Polegają one na kompozycyi ołowiu z innymi składnikami, które nadają mu taki stopień twardości, iż pocisk w locie nie traci kształtu, więc też nie traci celności i pędu a deformuje się dopiero w zwierzynie i to w kształcie grzyba, tak, że wlot pocisku ma wielkość kalibru lub jest nieco większym a wylot tegoż dochodzi średnicy kilku centimetrów. Kanał strzałowy rozszerza się od wlotu ku wylotowi i jest mocno poszarpany. Wlot pocisku ma obwód ostro ograniczony i niezamykający się, wskutek zupełnie płaskiej głowy pocisku, przeto zwierzyna blisko miejsca postrzału farbować zaczyna i łatwą jest do odnalezienia, tembardziej, że wskutek nagłej utraty krwi szybko pada.

Wynalazek powyższy ulepszył fabrykant w Suhl, w Turyngii, Brenneke i zastosował do niego specyalnie wiercone lufy, przy użyciu których dopiero w całej pełni osiąga się korzyści z tego wynalazku. Jest to tzw. „Universalbüchse“, z której się strzela sześcioraktmi pociskami, ładunkiem rozmaitej siły wobec, czego strzelba taka umożliwia polowanie jedną bronią od cietrzewia do łosia i niedźwiedzia.

M. R.

Zarządzenia ck. Starostw
w sprawie wykonywania ustawy łowieckiej.

Dnia 19. stycznia 1901 rozesłał p. starosta mościski następujący okólnik do wszystkich zwierzchności gminnych:

Stan łowiectwa w tutejszym powiecie, z bardzo nielicznymi zresztą wyjątkami, przedstawia obraz zupełnego upadku — nie winny temu ani przepisy ustawowe ani stosunki klimatyczne tylko nieprzestrzeganie obowiązujących przepisów i nieuwaga czynników do nadzoru powołanych.

W wielkiej części ciąży ta wina na naczelnikach gmin, którzy są obowiązani do współdziałania przy wykonywaniu policyi łowieckiej.

Dla łatwiejszego zorjentowania się przypominam, że pora ochronna (w której nie wolno polować) trwa dla kuropatw od 1. grudnia do 15. sierpnia, dla zająca od 1. lutego do 1. października a dla rogacza (samca sarny) od 1. marca do 15. maja — w tym czasie nikomu nie wolno tych zwierząt zabijać, zaś po upływie dni 14 od pierwszego dnia czasu ochrony nie wolno ich sprzedawać.

Przypominam dalej, że sprzedaż łownej zwierzyny przez handlarzy może się odbywać tylko za okazaniem świadectwa jej pochodzenia, które wydawać mają uprawnieni do polowania.

Dalej nie wolno polować w niedzielę i święta uroczyste.

Na Zwierzchność gminną wkładam obowiązek przestrzegania, aby te przepisy były zachowane, w razie dostrzeżonych przekroczeń należy donieść do ck. Starostwa, gdzie winni zostaną przykładnie ukarani.

Zrobiłem dalej spostrzeżenie, że szczególnie wiosenną, letnią i jesienną porą psy i koty włóczą się po polach samopas, lub też włościanie biorą je ze sobą w pole.

Zakazuję stanowczo brania lub wypuszczania psów, kotów w pole, psy i koty będą przez straż łowiecką strzelane a właściciela psa obłożę karą do 200 k. a to i dla tej bardzo ważnej przyczyny, że obecnie wścieklizna między psami w bardzo wielu gminach się pojawia.

Zakaz ten należy w gminie opublikować w ten sposób, aby każdy o nim wiedział.

Jeżeli Zwierzchność gminna będzie ściśle i sumiennie przestrzegać przepisów ustawy łowieckiej, aby nie polowano w czasie ochronnym, aby po 14 dniach zwierzyny nie sprzedawano, aby niesumienni i nieuczciwi przekupnie nie kupowali i niesprzedawali częstokroć kradzionej zwierzyny, stan tejże niebawem się podniesie, a w ślad za tem czynsze dzierżawne wzrosną w tym samym stosunku, na czem nikt nie straci a gmina zyska znacznie.

C. k. Starosta
Pietruski.

Grzeczności p. Starosty grodeckiego zawdzięczamy to, że możemy już dzisiaj podać wykaz zwierzyny, ubitej w r. 1900 w powiecie grodeckim, a zarazem wykaz ukaranych klusowników.

Zwierzyny pożytecznej padło:

Rogaczy 126, dzików 24, zajęcy 679, jarząbków 9, kuropatw 278, przepiórek 360, słonek 153, kszyków 423, dzika gęś 1, dzikich kaczek 298.

Zwierzyny szkodliwej padło:

Lisów 115, kun 4, tchórzy 3, borsuków 5, orły 2, sokołów, jastrzębi i krogulców 126, sów 7.

Ukarano naśtępujacych klusowników:

Cuniowski Fedko, Artyszczów. Gałuszka Iwan, Gródek, lwowskie przedm. Rap Iwan, Gródek Podgaj. Bublik Jan, Lubień wielki. Dudok Wasyl, Kosowiec. Dawyd Fewroni, Chalupki ad Dobrzany. Kaliciak Antoni, Rodatycze.



Korespondencye.

Grojec w marcu 1901.

W naszej ustawie łowieckiej znajdujemy niestety jeszcze dużo postanowień niezupełnie odpowiadających pomyślnemu rozwojowi i mnożeniu się zwierzostanów, postanowień, uwzględniających wyłącznie korzyść rolnika, ze szkodą łowiectwa, i to bez dokładnego rozważenia, czy korzyści pierwszego równoważą wysokość szkód wyrządzonych drugiemu. A że korzyści z rolnictwa i łowiectwa są dobrem ogólnem kraju, a nadto najczęściej w jednem skupiają się ręku, należałoby postanowienia ustawy łowieckiej tem dokładniej zbadać, a w razie ujemnego wyniku w odnośnej drodze odpowiednio zmienić.

Do takich, mojem zdaniem, mylnych postanowień obowiązującej u nas ustawy łowieckiej, jest między innemi zakaz tępienia jeża, myszołowa i wszelkich innych gatunków sowy, z wyjątkiem puchacza, a z drugiej strony wypuszczenie z wykazu szkodników, które tępić należy: wiewiórki, bociana i sojki.

Co do pierwszych wychodzi ustawa z założenia, że jeż, myszołów i sowa, żywiąc się myszami, tem samem rolnictwu wielkie przysługi oddają, a pomija zupełnie szkody, jakie te na pozór niewinne, powagą ustawy ochraniane stworzenia, wyrządzają zarówno rolnictwu jak i łowiectwu, i nie wchodząc w to, co wagę przechyli, korzyść czy szkoda, wprost je ochrania. Jeż i sowa żywią się wprawdzie myszami i szkodliwymi rolnictwu owadami, ale w nierównie większych ilościach pochłaniają one nasze najpożyteczniejsze drobne śpiewaki, jak słowiki, pokrzywki ziemby, sikory etc. niszcząc również całe młode pokolenia kuropatw i bażantów bądź już wylęgłych, bądź tychże gniazda (jaja), czego liczne codzienne przykłady w bażantarniach, a dowodem, że w kraju tak wysoko rozwiniętym co do łowiectwa jak i rolnictwa, jak Czechy i Morawa, a nawet i u nas w rewirach racyonalnie prowadzonych, tępią tych protegowanych ustawy, wbrew tejże i płacą za strzałowe (patrz w „Łowcu“ liczne wykazy ubitej szkodliwej zwierzyny).

Z drugiej strony wiewiórka, bocian i sojka, wypuszczone z listy szkodników cieszą się niczem nie zamąconym spokojem życia Sybaryty, pomimo że sojka i wiewiórka żadnych przysług nie oddają, obie niszczą gniazda naszych najpożyteczniejszych śpiewaków, a nadto wiewiórka wyrządza znaczne szkody leśnikowi, obcinając w młodych szpilkowych drzewostanach świeże pędy, najczęściej strzały wierzchołkowe.

Co do bociana, to pożyteczności tegoż żadną miarą udowodnić się nie da, bo niszczenie żab, węży i jaszczurek, żywiących się szkodliwymi nam owadami, raczej nam szkodę niż korzyść przynosi. Jedyna jego zasługa niszczenia żab, tych tępicieli narybku w gospodarstwach stawowych, ale i ta jest wątpliwą, bo smakosz ten tylko w razie niemożności chwycenia ryby żabą nie pogardza, i nie raz widziałem bociana połykającego funtowe karpie (kroczki).

Ze względu na łowiectwo, jest on naszym najniebezpieczniejszym szkodnikiem, bo począwszy od jeszcze puchem odzianych piskląt przepiórki, kuropatwy, bażanta, kszyka, kaczki etc. aż do młodego zająca, nic nie ujdzie jego bystremu wzroku i długim nogom, a ilość tego łupu przewyższa bezwarunkowo ilość połkniętych żab, względnie tylko w gospodarstwach rybnych szkodliwych, a częściej pożytecznych tępieniem szkodliwych owadów. Wystarczy przypatrzyć się uważnie łowom, jakie całe pokolenia młodych bocianów z końcem czerwca i lipca na łąkach i koniczach systematycznie urządzają, ustawiona w szereg rodzina bocianów przemierza poważnym krokiem z baczną na wszystko uwagą, nasze łany, i nic jej nie ujdzie, wystarczy obserwować po wylęgu gniazda tych ulubieńców naszego kmiotka, ile tam troskliwi rodzice, zajęcy, kuropatw, bażantów itp. swym pisklętom przyniosą.

Dla tego tępią bociana we wszystkich krajach łowiectwem się opiekujących, a nawet i u nas w lepiej pielęgnowanych rewirach, mimo złorzeczeń, oporu i zabobonu ludności wiejskiej, i właśnie w tym wypadku powinna ustawa łowiecka poprzeć odpowiednią zmianą trudne zadanie myśliwego dbałego o swój zwierzostan, a tem samem o dobro ogółu.

Co do jeża, to zachodzi w ustawie wprost sprzeczność, bo gdy raz tępienie jeża jest zakazanem, to w tej samej ustawie o parę, kartek dalej figuruje on jako szkodnik.

Tych słów parę niewprawnej ręki, w nadziei, że Towarzystwo łowieckie zbadawszy faktyczny stan rzeczy, użyje swych wpływów celem spowodowania odnośnych, a tak pożądanych zmian w naszej ustawie łowieckiej.

Jednym z największych nieprzyjaciół naszej zwierzyny jest wrona, dowodzić tego powszechnie uznanego pewnika, byłoby zbytecznem. Chciałbym tylko podzielić się z szanownymi czytelnikami naszego ulubionego „Łowca" sposobem jej tępienia, sposobem, który wśród licznych innych, w mej praktyce okazał się najłatwiejszym, a przytem najskuteczniejszym. Posiadając ładny rewir z gęstą obsadą kuropatw i bażantów, zależy mi bardzo na wytępieniu wrony, bo bez tego rozmnożenie pierwszych jest conajmniej wątpliwem. Używałem puhacza, lecz z nim wrony prędko się oswoiły i bić nań nie chciały, powtóre brak nieraz samemu czasu, by w budzie po kilka godzin siedzieć, a u straży myśliwskiej brak szybkości i pewności strzału. Niszczenie gniazd i wybieranie piskląt połączone z trudnościami i bezpotrzebnem niepokojeniem rewirów właśnie w czasie wiosennego lęgu. Tępienie z pomocą strychniną zatrutego ścierwa, raz, że niebezpieczne, ze względu na ludność wiejską, psy, etc. powtóre, że niedługo skuteczne, bo wrona po spożyciu takiego kąska pada zwykle przy trutce na miejscu, a trupy jej odstraszają nadciągające towarzyszki, które wietrząc zdradę, trutki więcej nie tkną. Najskuteczniejszym sposobem tępienia wron, okazał się u mnie następujący: Z wczesną wiosną w końcu stycznia, lutym i marcu, gdy wrona szuka przeważnie żeru nad spuszczonemi stawami, potokami i polnemi przykopami, kładzie się na brzegach i przylodkach tychże w odstępach około 100 kroków małe fosforem zatrute rybki (5·8 cm. długie płotki, słonecznice, kiełbie, brzanki, karasie itp.) Rybkę taką rozpruwa się, a wsunąwszy do środka małą dawkę fosforu na końcu noża, około pół najmniejszej łyżeczki od kawy, obwiązuje się białą nitką, by się woń fosforu zbytnio nie udzielała, tak przyrządzoną rybkę kładzie się na brzegach. Ciągnące wzdłuż wód i strumyków za żerem wrony, przekonane doświadczeniem, że tam najczęściej łup znajdą, spostrzegłszy wyłożone rybki (między zatrute dobrze jest po 2—3 niezatrutych, dla ponęty położyć) rzucają się na upragnioną zdobycz, po spożyciu której, wkrótce fosfor działać zaczyna, wrona działaniem zaniepokojona zrywa się, szuka schronienia i wypoczynku w pobliskich dąbrowach, remizach lub na drzewach, lecz w jakie 5—10 minut pada pod działaniem trucizny. Sposób ten ma dwie zalety, raz, że trupy nie padając bezpośrednio przy trutce, lecz w większem oddaleniu, przysłonione koronami drzew, nie odstraszają następców, powtóre, że fosforem struta wrona nie jest tak niebezpieczną w razie znalezienia przez dalszych ich konsumentów jak wieśniaków, psów, etc., bo silny zapach fosforu przed spożyciem ostrzega, czyniąc je wprost wstrętnem. W ten sposób tępię corocznie pokaźną ilość tych szkodników, a kilka razy i przezorny tchórz dał się w pole wywieść i futro swe zostawił.

Jan Chwalibóg.

Perehińsko 1. marca 1901.

W sprawie złapania dwóch wilków w żelazka a zatrucie trzeciego w lasach metropolitalnych perechińskich mam zaszczyt donieść co następuje:

Petro Chrestiuk, dozorca lasów metropolitalnych w Podlutem, który w ostatnich trzech zimach złapał w żelazka 5 rysiów, nastawił w lesie Kotelce dwa żelazka na przesmykach dnia 27. stycznia br. Po dwóch dniach wpadł stary wilk w żelazko, mianowicie złapał się za tylną nogę, z tym żelazkiem chodził przez 9 dni, aż go wspomniany dozorca doszedł i zastrzelił.

Po tem zdarzeniu nastawił ten sam dozorca na przesmykach również te same żelazka na cztery wilki w lesie Kamieniec, w które dopiero po 14 dniach wpadła stara wilczyca, złapawszy się za przednią nogę — z tym żelazkiem chodziła wilczyca przez trzy dni, dopiero o 400 metrów od miejsca, gdzie żelazka nastawił, doszedł i zastrzelił ją dozorca.

W drugiej polowie stycznia br. powaliły cztery wilki w lesie Meżynicz koło rzeki Łomnicy, łanię, z której większą część zeżarły, a pozostawione części tego mięsa dozorca łowiectwa, Matwij Hruszka zatruł strychniną — po dwunastu dniach przybyły do zatrutych resztek mięsa te same cztery wilki a jeden z tych czterech cokolwiek

zeżarł zatrutego ścierwa, poczem odeszły wszystkie cztery razem, jeden zostawał w tyle i po 500 metrach padł nieżywy wilk, dosyć gruby, stary. Wnętrzności miał całkiem od strychniny spalone.

Hołubowski.

Zaborze 27. marca 1901

Dnia 23. marca przyszedł do mnie mój stary gajowy i mówi, że idąc rano do lasu widział ślad dzika. Nie należą tu w naszej okolicy te dla myśliwego miłe stworzenia do rzadkości, ale ja na ich spotkanie zawsze chętnie idę. Biorę więc swój dryling i parę naboi i koło czwartej popołudniu jadę do lasu. Po długiem chodzeniu otropiłem nareszcie dzika w niewielkim miocie. Staję więc na jego wekslu i posyłam gajowego w miot, czekając spokojnie dalszego zrządzenia losu. Ale po półgodzinnem nerwowem oczekiwaniu przychodzi gajowy i mówi, że dzika niema. Ja jednak nie daję za wygrane i posuwam się wzdłuż linii, a gajowego puszczam na ślad, staję i czekam. Dość to już długo trwało ale żadnego stworzenia nie widzę. Raptem wybiegł z gąszczu kozioł, ponieważ kozłów w marcu strzelać nie wolno więc mu się tylko ukłoniłem, po jakiejś chwili słyszę łomot i widzę pędzącego dzika, mierzę i z expresa strzelam dokładnie wymierzywszy, on skoczył, ja za nim strzelam jeszcze śrutem. Dzik poszedł, i nastała chwila ciszy, w której myśliwy cieszy się jedynie nadzieją, że może zwierz został. Odmierzywszy odległość strzału 63 kroków i szukam kuli, nigdzie jej nie ma, więc chyba w dziku tkwi, idę dalej śladem, farby nie ma. Przychodzi nareszcie gajowy, razem więc z nim idziemy śladem, już mnie humor opuścił, bo widocznie puściłem dzika, szkoda, bo to tak miło widzieć zabitego dzika, ale oczywiście przez siebie. Idziemy śladem dość już długo, gdy wtem podnosi gajowy garść śniegu i widzę na nim farbę, nadzieja wstąpiła we mnie, przyspieszam więc kroku, miejscami jednak gubię ślad, bo już mało śniegu, ale już coraz częściej widzę miejsca, gdzie mu już było niewyraźnie, gdzie przyklękał i kładł się i okraszał te miejsca obfitą farbą. Idąc tak słyszę nawoływanie furmana, który jadąc drogą, widział ślad dzika z farbą, uwiązał więc konie i poszedł za nim, gonię więc w to miejsce i zostawiam starego gajowego daleko za sobą. Pędzimy tak, wtem zobaczyłem swego nieboraka wolno idącego, mierzę, ale już ciemno i ze zmęczenia ręce mi się trzęsą, strzelam jednak raz i drugi i dwoma tymi strzałami gruchoczę mu obie przednie nogi. Podchodzę więc do niego a on znalazłszy opór ziemi, tylnemi nogami wspina się i jednym skokiem zbliża się na parę kroków do mnie. Nie miła więc dla mnie nastaje sytuacya, bo kul już nie mam a dzik jeszcze żyje. Posyłam więc co koń wyskoczy furmana po kule do domu, a że, nim wróci, będzie już noc kompletna, tak że o dobrem mierzeniu mowy być nie może, każę mu więc przywieźć latarkę. Sam zaś z gajowym odbywam wartę przy dziku, który za każdym naszem zbliżeniem, rzuca się tylnymi nogami parę kroków ku nam i napotkawszy jaką przeszkodą jak np. grubszą gałęź, gruchocze ją zębami, przy czem ku memu zmartwieniu kruszy sobie szable.

Nareszcie przyjechał furman z nabojami i latarnią acetylenową, kazałem ja więc zapalić i przy jej oświetleniu wymierzyłem za ucho i od tego dopiero strzału skonał biedaczysko. Położyli go na wozie, ale tyle miejsca zajął, że sam musiałem iść do domu piechotą. Tu włożono go na wagę, która pokazała 152 klg.

Przy sekcyi, którą kucharz wykonał, pokazało się, że miał w sobie dwie kule oprócz tych, co przeszły po nogach.

Jest to już szósty dzik, którego tu w Zaborzu zabiłem, ale nigdy nie towarzyszyło temu arcymiłemu zdarzeniu tyle hałasu ani też iluminacya.

Zygmunt Łączyński.

Starzyska, 25. marca 1901.

Już w styczniu b. r. byłem przekonany, że u lisów wybuchła w tym roku jakaś zaraza, spotkawszy się jednak u wszystkich, którym moje spostrzeżenie opowiadałem, z niedowierzeniem, obawiałem się również donieść o tem do „Łowca", by mię znów podobny los nie spotkał. Gdy kilka wypadków choroby u lisów spostrzeżono u mnie, wypytywałem starszych myśliwych, czy o czemś podobnym słyszeli, odebrałem jednak same przeczące odpowiedzi. Wyczytawszy obecnie w „Łowcu" bardzo cenny artykuł Dr. Tadeusza Gabryszewskiego, którego prawdziwość żadnej nie ulega wątpliwości, gdyż wszystko oparte na faktach, poczuwam się do obowiązku donieść o zaszłych u mnie wypadkach. Prawdopodobnem jest, że choroba ta już w jesieni wystąpiła; lecz dopiero w grudniu zaczęto znajdować już to chore, już to nieżywę lisy. Wypadków, o ile sobie na pewne przypomnieć mogę, było ośm a mianowicie:

1) W grudniu znaleziono nieżywego lisa niedaleko wsi.

2) W grudniu znaleziono nieżywego lisa w lesie.

3) W grudniu zabili włościanie kołami we wsi lisa; który rzucał się na ludzi. Jest to jedyny wypadek, gdzie się lis agresywnie zachowywał.

4) W styczniu 1901 zabił mój nadleśniczy, p. Frey, a raczej dobił chorego lisa, który zaledwo się wlókł.

5) W styczniu przyniósł gajowy chorego lisa, który już chodzić nie mógł i którego dobito.

6) W styczniu znaleziono na polowaniu nieżywego lisa.

7) W marcu znalazłem szczątki lisa zdechłego koło jamy.

8) 15. Marca wydarzył się wreszcie najciekawszy wypadek, gdyż wśród dnia przybiegł na podwórze przed mój dom mieszkalny lis, właśnie w chwili gdy było więcej ludzi zajętych rozmaitemi robotami koło domu. Moje psy legawe puściły się za lisem i po kilku minutach go doszły i zagryzły. Niestety pokąsał lis psy, ponieważ jednak zaraz dostrzeżono, że są pokąsane, kazałem myć rany kwasem karbolowym i mam nadzieję, że może przecież nie zginą.

Dodać tu muszę, że bardzo mało w tym roku polowałem, tak, iż prawie połowy przestrzeni nie przepolowano i jestem przekonany, że tylko nieznaczną część nieżywych lisów znaleziono.

Mam niestety mało sąsiadów dbałych o zwierzynę, trudno mi więc zbadać, czy zaraza i w sąsiednich kniejach grasowała. W Wiszence (własność p. F. Stanka) jedynej kniei ze mną graniczącej, w której gospodarstwo łowieckie racyonalnie jest prowadzone, nie skonstatowano żadnego wypadku chorobliwego u lisów.

Ubiegły rok myśliwski do średnich zaliczyć można. Ogółem zabito u mnie od 1. marca 1900 do końca marca

b. r.: dzików 17, rogaczy 32, lisów 8, (prócz tego około 20 młodych lisów jamnikami w majn), słonek 17, kaczek 35 (na oparzeliskach w styczniu), kuropatw 33, jarząbków 2.

Zwierzyna zdaje się dobrze przezimowała i dotychczas tylko jednego rogacza szpiczaka nieżywego znaleziono. Pomimo to nie można na pewne spodziewać się na rok przyszły wiele zwierzyny, gdyż to głównie od tego zależy, ile sarn ujdzie bezkarnie przed siłkami, któremi moje granice pilnie przez całe lato przez okolicznych kłusowników są zastawiane. Gorsza to klęska dla łowiectwa, wszelkie klęski elementarne niż a piękne ustawy są dla kłusowników u nas zwykle tylko groźbą nigdy nie wykonaną.

Aleksander Weissmann.

Rozdół, (pow. żydaczowski) d. 24. marca 1901.

Umieszczony artykuł w *Łowcu* z d. 1. marca, donoszący o wściekliźnie lisów, zachęcił mnie do doniesienia szanownej Redakcyi, że, jak zdaje się, choroba ta u lisów rozniosła się już i w tutejszej okolicy. Ta myśl nasuwa mi kilka przykładów dziwnego i niezwykłego zachowania się lisów.

I tak: 1) W miesiącu listopadzie zauważył leśny, Jan Turkiewicz, lisa przechodzącego przez linię lasową. Lis, gdy zobaczył leśnego, skrył się za najbliższe grube drzewo, skąd niejako zaglądał za leśnym. Leśny widząc niezwykłe zachowanie się lisiury począł go podchodzić tak, że pomimo grubej warstwy opadłego już liścia, lis dał przyjść do siebie i dopiero po pierwszem uderzeniu go laską przez leśnego. rzucił się gwałtownie ku niemu, chwytając go za buty. Teraz leśny zmuszony był bronić się przed atakującym go lisem — ale w końcu odniósł zwycięstwo, ubiwszy lisa, niezawodnie wściekłego. Osobnik ten był ogromnie wynędzniały, a skóra jego po wysuszeniu na widełkach formalnie rozłaziła się.

2) W styczniu zobaczył leśny, Julian Lachowicz, lisa zbliżającego się do gajówki, którego atakował pies domowy. Lis z atakującego psa i zachęcającego go do tego leśnego nic sobie zupełnie nie robił, odgryzał się często psu i atakował go nawzajem, zbliżając się powoli przez podwórze do psiej budy. W budzie znajdywały się szczenięta, z których jedno dnia tego w niewytłómaczony sposób zginęło z budy. Lis tak lekceważył niebezpieczeństwo, że dał do siebie przyjść leśnemu i naprędce pochwyconem polanem ubić. Jak leśny twierdzi, ukradł on jedno psie a teraz przyszedł po drugie, ale zdaje się powodem tej zuchwałości była choroba, a nie chęć zaspokojenia głodu, pomimo, że był również chudy.

3) W mieście Rozdole ubito tej zimy w dzień na ulicach, o ile mi wiadomo, trzy lisy kijami, ale bliższych, a prawdziwych, szczegółów dowiedzieć się tutaj trudno. Ogółem okolica tutejsza słynęła do niedawna z obfitości lisów, obecnie na obszarze 2.500 morgów lasu trudno na ponowie zobaczyć nawet trop lisa, a jamy były przez całą zimę i podczas cieczki puste. Jak mnie wieści dochodzą, wypadki wścieklizny u lisów pojawiły się już także w okolicy Komarna.

Mały stan sarn ucierpiał tutaj jak i w innych okolicach tegorocznej zimy bardzo, powodem czego jest przemarznięcie, co zdaje się jest pewne, ponieważ przy dokonywanej w tutejszych lasach trzebieży i czyszczeniach na wielkich przestrzeniach, od jesieni przez całą zimę, miały sarny osiczyny i iwiny podostatkiem, a w dodatku zadawano im jeszcze suchą karmę; głodu więc sarny cierpieć nie mogły. Między padłemi sztukami przeważały siuty młode, jednak starszych i kotnych także wiele zginęło, i śmiało mogę twierdzić, że co najmniej jedna trzecia część sarn wyginęła. Pomiędzy padłemi siutami, znaleziono jedną z rożkami, jak u spiczaka, okrytymi włosem. Sarna ta również była kotną i nosiła dwoje młodych.

Pojawił się w tutejszych lasach tej zimy żbik, którego podpisany d. 31. grudnia 1900, w nocy na zasiadce, przy ścierwie uśmiercił.

Ciąg słonek rozpoczął się tu z dniem 16. bm.

Okniński.

Dnia 21 i 22. stycznia odbyło się polowanie w Porchowie u pana Artura Cieleckiego. Myśliwych 14, strzałów przeszło 300, na rozkładzie było 130 zajęcy, 2 lisy, 20 rogaczy i 4 dziki. Cztery dziki postrzelone a drugie tyle chybione, a że do wszystkiego strzelano, naturalnie dziki wymykały na boki i na nagonkę.

Od zwierzyny literalnie roiło się, mogło paść drugie tyle gdyby myśliwi lepiej strzelali, a jeszcze do tego ogromna okiść na drzewach przeszkadzała. Polowanie prowadzono wzorowo. Bardzo dobry zwyczaj stawiania myśliwych na stanowiskach i przed wyjazdem otrzymał każdy biały ładny kartonik na zielonym sznureczku a na nim każdy miot miał swój inny numer, podjeżdżało się pod linię i myśliwy idzie na swój numer.

O staropolskiej gościnności gospodarza nie ma co wspominać, gdyż znany jest z tego, a starym węgrzynem wdzięczna drużyna myśliwska piła zdrowię szanownego gospodarza dziękując mu zarazem za takie iście królewskie polowanie.

Władysław Mniszek.

Lwów, 9. kwietnia 1901.

Kto tylko miewa w ręku częściej pisma łowieckie niemieckie, spotyka się stale, mimo rasowej zawiści, z pieśniami pochwalnemi na temat galicyjskich jakoteż sybirskich rogów sarnich. Mimowoli przychodzi czytającemu na myśl „Nemo vates in sua patria". I dziwić się nie można że ogół galicyjskich myśliwych nie zna swych rodzinnych okazów, ani też umie ich prawdziwej wartości ocenić. Bo i kiedyż mamy u nas sposobność oglądania większych zbiorów?

Podczas wystawy krajowej w 1894-tym roku były wprawdzie piękne i liczne okazy, lecz przyzna każdy, że trzeba było specyalnego amatorstwa, którem niestety nie wielu u nas się wyszczególnia, by w nawale osobliwości poświęcić więcej czasu działowi rogów.

Zresztą jest jeszcze dla ogółu przystępne w kraju tylko muzeum Dzieduszyckich, posiadające ładną kolekcyę rogów, jednak rogi te, bądź co bądź dawniejsze, nie obznajamiają nas ani z właściwem bogactwem naszych kniei, ani też nie pozwalają nam śledzić rozwoju, lub może upadku w tem względzie.

Wspomnieć też na tym miejscu muszę, że przystępność wspomnianego muzeum jest także często teoretyczną, gdyż mimo ogłoszeń, że otwarte od tej do tej godziny, aż za często spotykamy się z oświadczeniem „dziś

z powodu porządkowania zwiedzać nie można“. Otóż przeciętny galicyjski myśliwy skazany *de facto* wyłącznie na podziwianie trofeów własnych i grona swych najbliższych znajomych.

Jeżeli corocznie urządzamy podczas zjazdu członków Towarzystwa łowieckiego galicyj. premiowe strzelanie, to tem bardziej powinniśmy zdobyć się na urządzenie w tym czasie także wystawy rogów.

Każdy przyzna, że dla łowiectwa naszego bez porównania większą korzyści przyniesie wystawa rogów z ewentualnymi drobnemi nagrodami, niż premiowe strzelanie.

W obu wypadkach bodźcem do pracy i ćwiczeń będzie zawsze tylko emulacya. Pod względem strzałów celnych, to na każdym kroku, na każdem polowaniu mamy do emulacyi sposobność, strzelec czy też myśliwy stara się o ile możności nastawiać rurę w dobrym kierunku, byle tylko w obec swego sąsiada po stanowisku się nie zblamować. A każdy przyzna, że emulacya w kniei, to coś szlachetniejszego, niż na strzelnicy do tarczy.

Nagrody też często dostają się nie myśliwym, lecz tylko strzelaczom.

Z drugiej strony wystawa rogów wpłynie dodatnio na czynniki, które w przyszłości lepszych jeszcze okazów dostarczyć mogą, wpłynie mianowicie na racyonalną chodowlę, na ten, że się tak wyrażę ideał łowiectwa. Ileż kóz i marnych szpiczaków zawdzięczać życie swe będzie takiej wystawie! Iluż właścicieli niemyśliwych, którym obecnie obojętną rzeczą, czy im leśny lub kucharz na pieczyste kozę czy kozła udusi, w przyszłości dla uzyykania nagrody, przestrzegać będzie, by tylko najpiękniejsze okazy w ich rewirach padały.

Sądzę tedy, że warto podjąć się urządzenia takiej wystawy, tem bardziej, iż materyał wystawowy będzie z pewnością i liczny i pierwszej jakości, przewyższający o wiele zagranicę, gdzie jak np. na przeszłorocznej wystawie rogów w Berlinie najwyższy róg sarni mierzył 27 cm. wysokości, co u nas na porządku dziennym się spotyka.

Udaję się przeto z zapytaniem do szanownego Zarządu gal. Towarzystwa łowieckiego, czyby nie zechciał z okazyi w czerwcu nastąpić mającego zjazdu członków, urządzić wystawy rogów? Czas potrzebny jest jeszcze do dyspozycyi, a i fundusze na pokrycie zresztą nie wielkich kosztów znajdą się z pewnością, potrzeba więc jedynie trochę dobrych chęci. Oby te ostatnie dopisały!!!*)

Y.

---

*) Na zapytanie to, które nadeszło w ostatniej chwili, odpowiada Redakcya, nie przesądzając ewentualnej uchwały Wydziału Towarzystwa, że byłoby rzeczą bardzo pożądaną i użyteczną, żeby projektowana wystawa wieńców i parostków mogła już podczas najbliższego zjazdu przyjść do skutku. Wystawa taka dałaby się rzeczywiście małym nawet kosztem urządzić, ale mogłaby miec tylko wtedy jakieś znaczenie gdyby zapewnionem było, że znaczniejsza ilość myśliwych trofea zdobyte przez siebie nadeśle. Jeżeli Wydział Towarzystwa z myślą tą się zgodzi, umieszczoną zotasnie w najbliższym numerze *Łowca* odpowiednia odezwa do członków, posiadających zbiory rogów, aby oświadczyli się, czyby całych zbiorów, a względnie najpiękniejszych okazów nadesłać na zjazd nie zechcieli.

Redakcya.

Kronika.

Hr. Józef Potocki powrócił już ze swojej wycieczki myśliwskiej do Senaar. Wysłany z wiadomościami przez towarzyszącego mu w tej podróży kustosza muzeum hr. Poranickich i redaktora *Łowca polskiego*, p. Jana Stollemana telegram do tego pisma opiewa: „wyprawa ukończona szczęśliwie. Pomiędzy innemi zabiliśmy słonia, lwa, bawoła, hipopotana i 38 antylop. W Warszawie będziemy na święta wielkiej nocy“. Wyjeżdżając w styczniu miał zamiar hr. Potocki udać się nad Biały Nr., przypuszczalnie aż do Faszody. Tymczasem po naradzie z ks. Henrykiem Kiellteusteinem, który również do Sudanu się wybierał, zmienił hr. Potocki swój plan i udał się nad brzegi Niebieskiego Nilu, do Senaar, gdzie jeszcze nie postała noga żadnego europejskiego eksploratora. Jak widać z telegramu, wycieczka udała się szczęśliwie, znakomity nasz podróżnik przywozi wspaniałe łupy do kraju i z pewnością równie wspaniałe wspomnienia, które prawdopodobnie ujęte w księgę, wzbogacą naszą litaraturę łowiecką i podróżniczą nową perłą.

Wyprawa myśliwska na morze lodowate. Pod przewodnictwem kap. Bade ma się odbyć wyprawa na północne morze lodowate. Wyprawa odbędzie się na statku odpowiednio zbudowanym i zabezpieczonym i obsadzonym załogą w podobnych podróżach doświadczoną. Polować będzie towarzystwo na niedźwiedzie polarne, słonie morskie, większe i mniejsze foki, w końcu na reny, a ewentualnie na łosie w zachodniej Grenlandyi. Bliższych wiadomości udziela W. Bade, emeryt. kapitan, w Wismarze, w Meklenburgu.

Wystawy psów. Ruchliwe pragskie Towarzystwo dla popierania chowu psów szlachetnych urządza w tym roku międzynarodową wystawę psów, która sądząc z przygotowań, będzie jedną z najświetniejszych tego rodzaju wystaw. Wystawa odbędzie się w parku powystawowym w Bubenicach — w Zielone świątki — na nagrodę przeznaczono 6000 koron najwyższe nagrody wynoszą 40 koron. W Wiedniu urządza wystawę psów zbytkownych i myśliwskich austryacki klub dla chowu psów zbytkownych. Wystawa ta odbędzie się w salach Towarzystwa ogrodniczego, I Parkring, 12, i to dnia 4, 5 i 6 maja będą wystawione psy zbytkowne, d. 10, 11 i 12 maja psy myśliwskie.

Ciekawy wychowaniec. Pewnemu przyjacielowi zwierząt przyniesiono prawie przed rokiem warchlaczka, kilka dni mającego. Po długiej naradzie oddano go na opiekę suce legawej, która właśnie karmiła jedno pozostawione jej z liczniejszego miotu szczenię. Z początku warczała na nowego amatora pokarmu, potem jednak zgodziła się ze swoim losem i zajęła się wychowaniem warchlaka. Obecnie między matką, przybranym i rodzonym synem panuje ścisła przyjaźń, która objawia się tamże najswawolniejszą zabawą, jaką kiedykolwiek można było widzieć. Oba psy i dorosły już warchlak towarzyszą swojemu panu w spacerach po mieście i nad brzegi Mozeli — i gdy pan dla ćwiczenia rzuca legawcom kawałki drzewa do wody i każe im je aportować, dzik rzuca się również do wody i płynie za swoją przybraną matką. Pomimo tego, że zwierzę to nie okazało dotychczas żadnych dowodów jakiejkolwiek złośliwości, zamierza jednak właściciel oddać go na wieś dla dalszej obserwacyi.

Odwona przepiórek. Związek stowarzyszeń myśliwskich we Francyi wysłał tymi dniami deputacyę do prezydenta Loubeta z prośbą o wydanie zakazu połowu przepiórek w miesiącu marcu na brzegach Tunisu. Zakaz przewozu żywych przepiórek przez Francyę, Niemcy i Szwajcaryę do Anglii, wydany w roku zeszłym przyczyni się znacznie do powstrzymania tępienia masowego tego ptactwa. Gdyby udało się wyjednać zakaz połowu przepiórek w marcu na brzegach Tunetanii, mogłaby Francya znowu rachować na podniesie się stanu tej zwierzyny. Prezydent obiecał sprawą tą się zająć.

Siegl, Mołoń i Ska

Centrale LWÓW (Pasaż Hausmanna)

Składy: Krosno. Gorlice. Lwów, Stanisławów. Kołomyja. Schodnica. Czerniowce.

utrzymują wielkie i obficie zaopatrzone

składy technicznych artykułów.

Kotły i maszyny parowe, elektryczne urządzenia, rury hermetyczne, pompowe i gazowe wszelkich wymiarów oraz łączniki i armatury, materyały gumowe i inne do opakowania maszyn — oleje smarowe, pasy skórzane, gumowe i bawełniane, pompy różnego rodzaju, węże gumowe i konopne, papę dachową, płyty izolacyjne, liny manilowe i druciane, kasy ogniotrwałe i przybory do

instalacyi wodociągowych

tudzież urządzenia dla tartaków, młynów, gorzelń, browarów, cegielni i t. d.

Kosztorysy i oferty po cenach fabrycznych udzielamy P. T. Reflektantom gratis i franko.

Zarząd szkółek

leśnych i ogrodowych

Tadeusza hr. Łubieńskiego

w Zassowie pod Czarną

poleca:

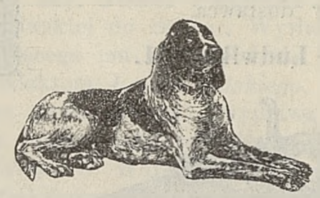
sadzonki leśne,
drzewka parkowe,
drzewka owocowe,
krzewy ozdobne,
i rośliny pnące

po najniższych cenach.

Katalogi odwrotną pocztą i opłatnie.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po 1½ ct. od wyrazu).



W Łańcucie u łownego Lewickiego są do nabycia psy: „Nero z wierzchu kawowy, pod spodem krasy w drugim polu. „Tiro“ anglik żółty, w drugim polu. „Bój“ anglo-czeskiej rasy, ciemny kasztan, w pierwszym polu. „Koza“ anglo-czeskiej rasy, ciemny kasztan w pierwszym polu. „Hektor“ anglo-czeskiej rasy, 6 miesięcy. „Milan“ anglo-niemieckiej rasy, biały z żółtymi plamami i nakrapiany szczeniuk 5 miesięcy.

Wszelkie kupony

i wylosowane papiery wartościowe

wypłaca bez potrące a prowizyi lub kosztów

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku krajowego,
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,
i wszelkie renty państwowe.

Nadto polecamy akcye Galic. Towarzystwa elektrycznego.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

KANTOR WYMIANY

c. k. uprzyw. glicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO.

Spółka wydawnicza polska w Krakowie

poleca

świeżo wydaną wytwornie, z portretem mistrza broszurę p. t.

JULIUSZ KOSSAK

Skreślił Józef Skarbek Borowski. — Nakładem autora

Cena koron 3, z przesyłką 3·30.

Do nabycia we wszystkich księgarniach z wyjąkiem w Rosyi.

Rewolwer 6-strzałowy systemu Dreysego, kaliber 25 m. wraz z futerałem jest do sprzedania u rusznikarza Kopczyńskiego we Lwowie, ul. Wałowa l. 5.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**